

The background of the cover is a stylized illustration of a winter forest. A woman in a long teal coat and a black dog are walking through a snowy path lined with tall, thin trees. The scene is rendered in a flat, painterly style with a color palette of blues, greys, and browns, accented by the teal of the woman's coat and the black of the dog. The overall mood is quiet and atmospheric.

JAMEY BRADBURY

# DZIKIE SERCE

*To nietypowa opowieść o miłości i niesamowity horror  
– jak połączenie sióstr Brontë ze Stephenem Kingiem.*

JOHN IRVING

MARGINESY

*The Wild Inside*

COPYRIGHT © 2018 BY Jamey Bradbury

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Robert Waliś

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,  
Warszawa 2019

*Dla moich rodziców Kit i Jima Bradburych*

Od zawsze potrafię czytać psom w myślach. Tata mówi, że to dzięki okolicznościom, w jakich przyszłam na świat – w otwartych drzwiach psiej zagrody, pod baczny spojrzeniem dwudziestu dwóch par psich oczu, od początku otoczona szczekaniem i wyciem.

Wtedy w wiosce nie było przychodni, więc lekarz śródwiskowy odwiedzał rodziców raz w miesiącu. W połowie ciąży kazał mamie leżeć i się nie przemęczać. Stosowała się do tego zalecenia aż do nocy moich narodzin, pierwszego marca. Z zimna zamarzały jej końcówki włosów. Wyszła z domu, poczłapała na drugą stronę psiego podwórza i zdążyła dotrzeć do drzwi zagrody, gdy przeszył ją ból. Przykucnęła, trzymając się za brzuch, po czym zawołała mojego tatę. Wyślizgnęłam się błyskawicznie. Znalazłam się na świecie, zanim się zorientowała, niemal bez jej pomocy. Kiedyś stwierdziła, że to jedyna rzecz, w której nie sprawiałam jej problemów.

Po co poszłaś do zagrody? spytałam ją pewnego dnia.

Wzruszyła ramionami. Chyba tęskniłam za psami.

Byłam duża, ciężka i stale głodna. Mama powiedziała, że czasem kobiety mają trudności z przystawieniem dziecka do piersi, zresztą widziałam to samo u niektórych szczeniaków – ignorują instynkt i nie chcą ssać sutka, a wtedy

trzeba odciągać mleko i karmić malców butelką. Ale mnie to nie dotyczyło. Natychmiast się przyssałam i nie chciałam puścić. Podobno mama nigdy nie widziała tak żarłocznego dziecka. Ale chociaż miała wrażenie, że całkiem osuszę jej piersi, nie przestawała mnie karmić.

W albumie rodzinnym znajdują się zdjęcia, na których wszyscy czworo pracujemy na podwórzu albo stoimy wokół psiego zaprzęgu przed wyścigiem. Scott i ja razem, z ciemnymi włosami mamy i brązowymi oczami taty. W szkole nauczyłam się, że krew ma pamięć. Przenosi informacje, które czynią cię tym, kim jesteś. Dlatego mojego brata i mnie tak wiele łączy – oboje nosimy w sobie cechy, które zapamiętała krew naszych rodziców. Wspólna krew to największa bliskość, jaka może cię łączyć z drugim człowiekiem.

Pewnie dlatego tak często pakowałam się w kłopoty, kiedy poszliśmy ze Scottem do szkoły. Nie miałam nic wspólnego z innymi dziećmi. Wcześniej uczyliśmy się w domu. Mama była naszą nauczycielką, dawała nam zadania, kartki z kolumnami cyfr, które musieliśmy dodawać albo odejmować. W dzieciństwie za poprawne odpowiedzi dostawałam gwiazdkę. Dziesięć gwiazdek znaczyło, że mogę wyjść z domu. Załatwiałam sprawę jak najprędzej, by móc spędzić większość dnia na podwórzu, w lesie albo na zapasach i gonitwach ze Scottem. Zazwyczaj tylko się bawiliśmy, ale czasami dochodziło do bójek i mama musiała na nas krzyknąć, żebyśmy przestali.

Nasz dom był najlepszy na świecie. Zbudował go dziadek, jeszcze przed narodzinami taty. Znalazł kawałek Alaski, który mu się spodobał, po czym wyciął w lesie czterohektarowy krąg i na jednej połowie postawił dom, a na drugiej zagroził dla psów, długi budynek z warsztatem

na końcu i mnóstwem miejsca na sprzęt i sanie. Pomiędzy domem a zagrodą stało w sumie czterdzieści psich bud. Dookoła rosły drzewa, a na tyłach podwórza zaczynał się szlak prowadzący przez las do jeziora Ptarmigan, oddalonego o niecałe pięć kilometrów, i dalej przez czterdzieści pięć kilometrów do rzeki, za którą rosły kolejne drzewa, potem góry i wreszcie tundra.

Staram się spędzać w lesie jak najwięcej czasu. Ktoś może na mnie popatrzeć i powiedzieć: Przecież masz dopiero siedemnaście lat i jesteś dziewczyną, więc po co włączysz się sama w dziczy, gdzie może cię rozszarpać niedźwiedź albo stratować łoś? Ale gdybyście posłali mnie i dowolną inną osobę na tydzień do serca lasu, przekonalibyście się, kto wróci cały i zdrowy, a wręcz zachwycony. Jeźdź saniem, od kiedy potrafię utrzymać się na nogach, a już w wieku dziesięciu lat zabierałam niewielkie zaprzęgi na nocne wyprawy szlakiem. Czasami zniktałam na kilka dni, a za towarzystwo miałam wyłącznie swoje psy. Od razu po osiągnięciu wymaganego wieku wystartowałam w juniorskim wyścigu Iditarod, a jako szesnastolatka – w pierwszych dorosłych zawodach psich zaprzęgów. Mam już na koncie wystarczająco wiele przejechanych kilometrów, by zakwalifikować się do dorosłego wyścigu Iditarod, więc będę mogła wziąć w nim udział, gdy skończę osiemnaście lat. Raz udało mi się nawet odzyskać wpisowe, po tym jak ukończyłam kobiecy wyścig Gin Gin 200 w pierwszej piątce. Ale mówiąc szczerze, nie obchodzą mnie pieniądze. Chcę po prostu jak najczęściej stawać na saniach.

Dlatego nie spodobało mi się, gdy w piątkowe popołudnie tata rzucił mi swoje kluczyki i zadysponował: Odbierz brata ze szkoły, Trace.

Chwyciłam je jedną ręką i odrzuciłam. Upadły na trawę obok dmuchawy śnieżnej, przy której majsterkował.

A ty nie możesz?

Jasne, odpowiedział tata. W takim razie zostań w domu i napraw tę maszynę dla Eleanor Andrews. Tylko się pośpiesz, bo za godzinę wpadnie po nią jej siostrzeniec.

Zrobiłabym to, gdybym potrafiła, mruknęłam, grzebiąc w trawie w poszukiwaniu kluczyków.

Proszę, tata wyjął z kieszeni kawałek papieru. Przy okazji powieś to w sklepie w wiosce.

Podał mi ogłoszenie przeznaczone do przyczepienia na korkowej tablicy przy drzwiach jedyne go sklepu w miasteczku, gdzie trafiały wiadomości w rodzaju SPRZEDAM OPONY DO QUADA albo ODDAM DREWNO DO SAMODZIELNEGO POCIĘCIA.

Tata napisał swoje ogłoszenie odręcznie, pochyłymi literami, które wyglądały, jakby zmagaly się z silnym wiatrem. „Pokój do wynajęcia. Mały pokój na tyłach domu, ustronny, czysty. Piec na drewno. Bez wody ani prądu. Można korzystać z kuchni i wanny w domu. Położony przy 180. kilometrze. Żadnych włóczków”. Na dole nazwisko oraz nasz numer telefonu.

Który pokój? spytałam. Nasz dom był spory, nie musiałam dzielić sypialni ze Scottem. Nie zamierzałam mieszkać z bratem tylko po to, żeby jakiś obcy człowiek mógł wynająć miejsce, które należy do mnie.

Szopa nie zawsze była szopą, wyjaśnił tata. Kiedy dziadek ją zbudował, miała być samodzielna chatką.

Oprócz domu, zagrody i stojących między nimi czterdziestu psich bud na naszym terenie znajdowały się jeszcze dwa budynki: szopa na drewno, a raczej trzy ściany przy-

kryte daszkiem, pod którym składowaliśmy cały opał, oraz prawdziwa szopa, z solidnym dachem i piecem na drewno, a nawet niewielkim oknem. Przechowywaliśmy tam wszystko, czego nie potrzebowaliśmy stale mieć pod ręką, na przykład kosiarkę z pękniętym ostrzem, kozły do piłowania drewna, wędki czy pokryte smarem części drugiego pick-upa, który stał na ceglach.

Posprzątamy i będzie całkiem ładnie, oznajmił tata. Jakiś obcy ma tam zamieszkać? zdziwiłam się.

Potrzebujemy pieniędzy.

Ale jeśli mam zostać i ci pomagać... zaczęłam

Wszedł mi w słowo.

Tak jak mi pomagasz, od kiedy zawiesili cię w szkole?

To niesprawiedliwe. Zrobiłam, co mogłam, żeby odpokutować szkolne winy. Przez cały tydzień, gdy tata odwoził Scotta do miasteczka, sprzątałam naczynia po śniadaniu, a potem siadałam do książek, ponieważ okazuje się, że nawet jeśli cię zawieszą, i tak musisz odrabiać lekcje. To prawda, że nie ruszałam połowy zadań, które mi przysyłali, ale przecież musiałam polować. Skąd tata miałby brać skórki na handel lub wymianę? Ładne futro kuny, rozciągnięte i garbowane, może być warte pięćdziesiąt dolarów albo więcej, a to niemało.

Zabawa w lesie nie liczy się jako pomoc, powiedział tata, jakby potrafił czytać mi w myślach. A teraz czy możesz zrobić to, o co cię proszę, bez wymyślania dwudziestu wymówek?

Wślizgnęłam się za kierownicę pick-upa i czekałam, aż silnik postanowi zaskoczyć. Psy obszczekiwały mnie, kiedy powoli sunęłam podjazdem, wściekłe, że nie wybierają się ze mną na przejażdżkę. Popatrzyłam w lewo wzdłuż dro-



gi, potem w prawo, a następnie znów w lewo; uczyniłam tak dwa albo trzy razy, zanim wyjechałam na szosę. Nie chciałam sprawiać tacie kłopotów. Naprawdę pragnęłam mu pomóc, ale nie w taki sposób. Nie lubiłam prowadzić auta, nawet zanim to się wydarzyło. Poza tym nigdy nie lubiłam jeździć do miasteczka, zwłaszcza gdy towarzyszyła temu wizyta w szkole. Skoro tata potrzebuje mojej pomocy, dlaczego nie mogę zostać w gospodarstwie i zająć się czymś konkretnym, na przykład tresurą, sprzątaniem kojców lub wyprowadzaniem młodszych psów na spacer, aby obserwować, które z nich są posłuszne, a które nadają się na liderów?

Ale w dniu, w którym zawiesili mnie za bójkę, tata postanowił: „Żadnych psów”. Zabronił mi dawać im się wybiegać, bawić z nimi ani nawet je karmić, co oznaczało, że miał więcej pracy. Wściekł się z powodu tego, co zrobiłam tamtej dziewczynie ze swojej klasy, i to była najsurowsza kara, jaka przyszła mu do głowy, nie licząc zakazu polowania.

Pilnie ćwiczyłam powożenie psim zaprzęgiem, ale to polowanie miałam we krwi. Lubiłam to robić i o tym czytać, a w domu stało mnóstwo książek na ten temat. Moimi ulubionymi były *Nóż i spryt*. *Minimalistyczne przetrwanie* Joego Wilcoxa, *Co warto jeść*. *Jadalne dzikie rośliny* Nancy i Billa Philomenów, *Pułapki i ich zastawianie* Aleca Cooka, a przede wszystkim *Jak się zgubić* Petera Kleinhausa, która nie jest poradnikiem, lecz zwyczajną książką, ale i tak nauczyłam się z niej wielu rzeczy o przetrwaniu. Peter Kleinhaus to ten gość, który przyjechał na Alaskę z południowych stanów i próbował całą zimę przeżyć w terenie, mieszkając w samodzielnie zbudowanym schronieniu i żywiąc się tylko tym, co sam upolował albo znalazł. Odmroził

sobie płatek ucha i dwa palce u nóg, ale ogólnie całkiem nieźle sobie poradził.

Zawsze najbardziej podobała mi się książka Kleinhausa, ponieważ miejscami autor przestaje pouczać i po prostu opowiada, o czym myślał. Czasami podczas czytania jakiejś książki zaczynasz się zastanawiać, skąd obcy człowiek mógł wiedzieć, co dokładnie siedzi w twojej głowie. W pewnym momencie Kleinhaus pisze o tym, że przebywa w dziczy już od około trzech miesięcy, a od czterech dni szaleje śnieżyca. Utknął na skalnej półce na zboczu góry, nie ma opału do ogniska. W połowie czwartej nocy nagle się budzi i widzi, że śnieg przestał padać. Niebo jest bezchmurne, a gwiazdy przypominają opiłki żelaza rozsypane po czarnej tkaninie, która ciągnie się bez końca, wciąż dalej i dalej, a ty masz wrażenie, że niebo zaraz cię połknie, i niemal pragniesz stać się częścią czegoś potężnego. Chociaż jest mu zimno i nie ma ogniska, nie robi nic poza siedzeniem i patrzeniem w niebo. Pisze: „Zapominam się pod tym bezkresem. Moje człowieczeństwo umyka i już nie jestem sobą, tylko kolejnym zwierzęciem pod wiecznym, obojętnym niebem”. Kiedy przeczytałam to po raz pierwszy, musiałam zamknąć książkę i wyjść z domu. Zakręciło mi się w głowie.

Od prowadzenia samochodu też kręci mi się w głowie, ale inaczej. Drzewa przemykają obok, a niebo rozwija się nade mną, szare od obietnicy śniegu, której wciąż nie spełniło. Jechałam wyraźnie poniżej ograniczenia prędkości, ale opony z kolcami straszliwie jęczały na szosie, więc zwolniłam przed zakrętem, próbując nie patrzeć na pobocze.

Mama zginęła miesiąc przed moimi szesnastymi urodzinami. Miała wypadek. Nie prowadziła auta, szła wzdłuż

drogi. Jest tyle miejsca na spacerowanie na terenie naszej posiadłości, a ona postanowiła przejść się poboczem.

Droga mijająca nasz dom jest niemal całkowicie prosta i zapewnia dobrą widoczność. Ale w jednym miejscu ostro skręca i opada, a jeśli jedziesz za szybko, możesz nie zauważyć kogoś na poboczu. Facet, który kierował ciężarówką, twierdził, że odwrócił wzrok tylko na moment. Powiedział policjantowi, że nawet nie widział człowieka, a jedynie usłyszał, że jego samochód w coś uderzył, może w dużego psa albo cielę łośia.

Siła uderzenia rzuciła mamę na drzewo. Podejrzewam, że właśnie to ją zabiło. Jeśli złapiesz w sidła wiewiórkę i znajdziesz ją wciąż żywą, a nie masz wystarczająco dużo siły, by skrócić jej kark, możesz huknąć nią o drzewo i będzie po sprawie. Zastanawiam się, o czym myślała, kiedy wyrzuciło ją w powietrze. Czy było tak, jak mówią: czas zwolnił i mogła zobaczyć całe swoje życie albo przyjrzeć się, jak płatki śniegu spadają niczym gwiazdy i nieruchomieją na ziemi, a noc staje się jaśniejsza, gdy wszystko jest czyste i białe? Jeśli o czymkolwiek myślała, to mam nadzieję, że właśnie o tym.

Zastanawiam się także, co robiła w środku nocy poza domem, na poboczu. To nie jest przyjemne miejsce na spacer. Kiedy obok ciebie przemyka samochód, obsypuje cię kamyczkami i ziemią, chłapie błockiem, uderza falą powietrza, która za nim podąża. Nie rozumiem, co ją tam przyciągnęło. A jednak znalazła się przy drodze, sama w ciemności, dopóki nie oświetliły jej reflektory.

Scotta nie było, kiedy zatrzymałam się przed szkołą. Czekałam, patrząc, jak rzeka dzieciaków wylewa się na dziedziniec.

Te mieszkające dalej wsiadały do autobusu, który kiedyś woził także mnie i Scotta, zanim sprawiłam, że nas z niego wyrzucili. Według dyrektora przysparzałam kłopotów już od pierwszego dnia.

W końcu wysiadłam z pick-upa i minęłam kilka grupek wygłupiających się starszych dzieciaków, które śmiejąc się i głośno rozmawiając, wsiadały na swoje quady, by odjechać do domu. Była także Beth Worley z listewką na nosie i bandażem zakrywającym szwy, które założono jej na początku tygodnia. Zdziwiło mnie, że już chodziła do szkoły, bo przecież w drodze do przychodni płakała, jakby miała umrzeć. Spiorunowała mnie wzrokiem, a jej przyjaciółki umilkły, kiedy przechodziłam obok nich, a potem zaczęły szeptać, gdy uznały, że wystarczająco się oddaliłam. Ale od zawsze mam lepszy słuch niż inni.

Scott klęczał przed swoją klasą, otoczony rozrzuconymi podręcznikami. Dopiero kiedy podeszłam, żeby pomóc mu je pozbierać, zauważyłam sporego siniaka rozkwitającego w kąciku jego ust.

Kto to zrobił? spytałam.

Pokręcił głową. Nieważne. Chodźmy.

Wiesz, że to po mnie spodziewają się bójeł, powiedziałam, kiedy wyszliśmy z budynku.

Prawdziwe z ciebie utrapienie, Tracy Sue Petrikoff, skomentował i zabrzmiał przy tym tak samo jak tata, kiedy we wrześniu zadzwonili do niego ze szkoły i powiedzieli, że kopnęłam jakiegoś dzieciaka kolanem w krocze, po tym jak podczas lekcji wuefu rzucił mi piłką prosto w głowę.

Szturchnęłam Scotta w ramię, ale tylko w żartach, nie na tyle mocno, żeby sprawić mu ból.

Zamknij się, rzuciłam.

Odepchnął mnie.

Sama się zamknij.

Uważaj, Scotty! zawołał jakiś bachor z drugiego końca podwórka. Ona odgryzie ci twarz!

Potem rozległ się śmiech dzieciaków, które nawet nie chodziły ze mną do klasy. Wieści szybko się rozchodzą, gdy w jednym miejscu znajduje się zbyt wiele osób i wszystkie mają długie języki.

Goń się, odkrzyknął Scott.

Hej, zdziwiłam się, czy to nie jest twój kumpel?

Scott wzruszył ramionami. Tak, ale jednocześnie kawał palanta. A ty jesteś moją siostrą.

Zmierziłam mu włosy, wiedząc, że tego nie znosi. Pacnął mnie w dłoń.

Zatrzymaliśmy się przy sklepie, tak jak prosił tata, a ja poleciłam Scottowi, żeby pobiegł do środka i zawiesił ogłoszenie. Potem skierowałam się do domu. W miarę jak oddalaliśmy się od stacji benzynowej i zajazdu, w którym ludzie tłoczyli się przy kontuarze niczym rybki w puszce, czułam się coraz swobodniej. Wnętrze auta pachniało tłuszczem i wilgotnym futrem, co przypominało mi czasy, gdy całą czwórką pakowaliśmy się do kabiny i jechaliśmy do wioski, by uzupełnić zapasy, a przed powrotem do domu czasami wpadaliśmy na obiad do zajazdu. Wtedy mężczyźni podchodzili do naszego stolika, żeby uścisnąć dłoń tacie albo postawić mu drinka. Cały stan znał Billa Petrikoffa Juniora. Mam wrażenie, że to było w całkiem innym życiu, jakbym czytała o tym w książce. Po śmierci mamy wszystko szybko się zmieniło.

Przypominało mi to grę „Znajdź różnice”, którą kiedyś zabawialiśmy się ze Scottem. Mama dawała nam dwa ob-

razki, które na pierwszy rzut oka wyglądały tak samo, ale jeśli przyjrzałeś się im uważnie, zaczynałeś dostrzegać odmiennie detale. Na pierwszym rysunku mężczyzna miał na głowie kowbojski kapelusz, ale na drugim nosił czapkę baseballową. Czerwony but zmieniał kolor na niebieski. Ptak lecący po niebie zniknął. Twoim zadaniem było odnalezienie tych szczegółów.

W naszym życiu na pierwszym obrazku wszystko obracało się wokół psów. Było ich pełno na podwórzu, tata naprawiał sanie, a mama stała przy kuchence i gotowała dorsza z wołowym łojem do polania suchej karmy. Przygotowywała paczki z jedzeniem do rozłożenia na trasie, szyła buty na psie łapy. Było nas stać na wynajęcie pomocników, aby jak najlepiej przygotować się do każdego wyścigu, wliczając ten najważniejszy. Kiedy zbliżały się zawody Iditarod, a zaprzęg taty stał na starcie, mama przytrzymała jednego z dużych psów znajdujących się bezpośrednio przed saniami. Rozlegał się dźwięk rogu, wszyscy opiekunowie puszczali psy, a mama się odwracała i dawała tacie szybkiego buziaka, zanim ją minął. Potem spieszyła do mnie i Scotta stojących obok trasy, a tata wykręcał tułów i machał do nas, dopóki nie zniknął za pierwszym niskim wzniesieniem.

Po wyścigu spotykaliśmy się z tatą na niewielkim pasie startowym, na który przylatywał razem z psami wyczarowanym samolotem z Nome. Pakowaliśmy się do auta i jechaliśmy do domu. Mama zajmowała miejsce na jednym końcu siedzenia, tata na drugim, a ja i Scott siadaliśmy w środku. Byliśmy jak kanapka, w której rodzice odgrywali rolę pieczywa. Na zewnątrz panował ziąb, lecz w samochodzie zawsze było ciepło. Płatki śniegu lśniły podświetlone reflektorami.

Tak było kiedyś. Na drugim obrazku tata stał z rękami na biodrach i patrzył, jak parkują pick-upa na naszym podjeździe. Rzeczywiście wyglądał jak postać z rysunku małego dziecka, zbudowana z kilku cienkich kresek. Zostały z niego skóra i kości, miał duże ciemne oczy, które jakby zapadły się w głąb głowy. Ze zmarszczonym czołem czekał, aż wysiadziemy z auta.

Witaj, synu, powiedział i się uśmiechnął, chociaż jego oczy pozostały smutne. Idź do pokoju i zajmij się pracą domową, słyszysz?

Tak, ojcze.

A ty, odezwał się takim tonem, że aż ścisnął mi się żołądek, masz szlaban. Nie mówię tylko o psach. Nie wolno ci opuszczać podwórza, polować ani biegać z psami. Przygotuj się na długą przerwę.

W żołądku czułam lód.

Jak to?

Kiedy cię nie było, dzwonili ze szkoły. Zostałaś relegowana. Mówiłem ci...

Nie.

Słucham?

Nie, odpowiedziałam. Co za pieprzenie. To ja trenowałam do upadłego, dopóki nie kazałeś mi przestać. To ja przez większość czasu zajmuję się psami. To ostatni rok, kiedy mogę startować w juniorskim wyścigu. Pierwszy rok, w którym mogę zgłosić się do dorosłych zawodów!

Pokręcił głową. W tym roku nie będziesz się ścigała, Trace. Nawet gdybyś pozostała w szkole, nie byłoby nas stać na wpisowe.

Słońce przecinało nasze podwórze cieniami drzew, długimi kolumnami mroku wsiąkającymi w brązową trawę.

Nasze psy zaczęły się zastanawiać, co robimy. Siedziały i patrzyły na nas z przekrzywionymi łbami. Kilka tręcało nosami miski. Wyobraziłam sobie, że tata delikatnie je głaszcząc, sprawdza ich łapy albo masuje im nogi po długim biegu. Nie pamiętałam, kiedy ostatnio wsiadł na sanie.

Pod wpływem tej myśli zacisnęłam zęby i pięści; miałam ochotę w coś uderzyć. Czułam się tak samo jak tamtego dnia, gdy złamałam nos Beth. Wściekłość wzbierała we mnie jak pożar szalejący w lesie, pochłaniający wszystkie drzewa i źdźbła trawy.

Im bardziej się burzyłam, tym bardziej tata się uspokajał. Westchnął, jakby uszło z niego powietrze.

Twoja mama lepiej sobie z tym radziła.

Z czym?

Z tym, odrzekł. Z robieniem tego, co dla ciebie dobre. Z rozpoznawaniem, czego potrzebujesz. Było łatwiej, kiedy byłaś mała. Wtedy stale chciałaś być poza domem i wszędzie za mną chodziłaś.

Chciałam mu powiedzieć, że to nieprawda. Mama była dobra w wielu rzeczach, a kiedyś spędzałyśmy długie godziny na rozmowach, ale o mnóstwie spraw mi nie mówiła. Czasami zatrzymywała się na krawędzi, jakby docierała do brzegu strumienia i zastanawiała się, czy przejść na drugą stronę. A potem, zamiast włożyć stopę do wody, odwracała się i rezygnowała z dalszej rozmowy.

Ale tego nie powiedziałam. Tata rzadko wspominał o mamie, a jeszcze rzadziej rozmawialiśmy o tym, jaka była albo co by zrobiła. Miałam wrażenie, że ona za chwilę wyjrzy przez drzwi wejściowe i spyta: Macie jakieś tajemnice? Złapałam się na tym, że naprawdę na nią czekam. To głupie, ale poczułam się rozczarowana, kiedy się



nie pojawiła. Zupełnie jakby rozmowa o niej mogła ją przywołać.

Wciąż tego pragnę, powiedziałam tacie. Przebywać na zewnątrz. Ścigać się.

Nie ty jedna robisz coś, na co nie masz ochoty.

Powiedział to tak łagodnie, że nie wypadało na niego krzyczeć. Ale nie mogłam się powstrzymać.

Mógłbyś robić to, czego pragniesz! Zamiast tracić czas na naprawianie rupieci dla innych ludzi, robienie durnych stołów i półek na sprzedaż...

Niby w jaki sposób zarabiam na jedzenie, Tracy? W jaki sposób płacę za prąd?

Jesteś maszerem! Mój głos uderzył w niego jak pięść. Nie chciałam go zranić, ale nie potrafiłam się zatrzymać. Jakaś część mnie miała to gdzieś. Powinieneś powozić za przęgiem! To jest twoja praca! Tymczasem tylko ja startowałam w zeszłym roku...

Jego twarz spochmurniała. Wtedy się zamknęłam.

Odchrząknął. Kiedy się odezwał, był całkowicie spokojny.

Powiedziałem, co miałem do powiedzenia, Tracy. Chciałbym, żebyś teraz weszła do domu. Wieczorem możesz przygotować kolację.

Wolałabym, żeby na mnie nawrzeszczał. Na podwórzu nagle zapanował chłód. Tata ominął mnie szerokim łukiem, kierując się do zagrody. Na jego widok psy poderwały się i rozszczękały, ponieważ wiedziały, że nadeszła pora posiłku.

Patrzyłam na niego, dopóki nie zniknął w budynku, a wtedy uderzyłam pięścią w karoserię pick-upa. Obtarłam sobie knykcie, ale uderzyłam jeszcze raz. Potem puściłam się biegiem, minęłam dom i przecięłam okrągłe podwórze. Do lasu. Chłodna, twarda ziemia pod moimi stopami. Tata

będzie się gotował ze złości, kiedy wrócę. Ale muszę coś zrobić.

Szybki bieg daje satysfakcję. Kiedy biegniesz, zmierzasz do jakiegoś miejsca, ale jednocześnie inne miejsce zostawiasz za sobą. Doznania okrywają cię jak koc. Otulają twój umysł i uciszają twoje myśli, dzięki czemu możesz przestać słuchać głosów w swojej głowie i skupić się na szeleście zarośli albo pisku wiewiórki w koronie drzewa. Biegnę najszybciej, jak potrafię, dopóki starczy mi sił. Mój umysł podróżuje, a ja staję się tylko oddechem, kośćmi i mięśniami. Jestem spokojna i skupiona, pełna siły i energii, wszystko naraz.

W ten sposób zrzucam z siebie złość i zmartwienia, jak pies otrząsający się z wody. W ten sposób opróżniam swoje wnętrze, by móc znów je zapełnić.

Po pewnym czasie zboczyłam ze szlaku i zanurzyłam się głębiej w las. Wszystkie liście szeptały na wietrze. Jesień na Alasce trwa krótko, jak napisał Peter Kleinhaus, „liście brązowieją, przemieniają się i opadają na ziemię w ciągu jednego dnia”. Ale to dobra pora na założenie sidła lub polowanie. Można znaleźć drzewa, z których łosie zdarły porożem korę, a kiedy przyłoży się do nich dłoń, czuje się drewno gładkie jak skóra na policzku.

Poczułam jego delikatność i spytałam matkę: A co z łosiami?

Nawet kiedy już odeszła, czasami znajdowałam ją w lesie. Była ledwie obecna, jak pajęczyna, którą mogłam przeniknąć ręką. Potrafiłam przywołać wspomnienie jej głosu, kruche niczym warstwa lodu na kałuży.

Łosie są za duże, odpowiedziała. Co chciałabyś z nimi robić?

Wzruszyłam ramionami, ale na myśl o pochłonięciu czegoś tak dużego jak łoś poczułam łaskotanie w żołądku.

Nigdy nie należy brać więcej, niż się potrzebuje.

Kiedy żyła, pokazała mi, gdzie nornice wytyczają cienkie przesmyki w trawie. Znaczą to miejsce odchodami i tropami, które można rozpoznać po dwóch środkowych palcach skierowanych do przodu i dwóch mniejszych palcach po bokach. Kiedyś spacerowałyśmy po lesie, trzymając się za ręce, aż w końcu ona puszczała moją dłoń, wołała: „tojad”, „pęd paproci” albo „moroszka”, a ja pędziłam szlakiem i znajdowałam to, o co prosiła. Następnie tłumaczyła mi, które z tych roślin są jadalne, a od których można się pochorować albo nawet umrzeć.

Ale nigdy nie musiała mi mówić, że rankiem wiewiórki zaczynają krążyć w poszukiwaniu pożywienia, a ich ruch to sygnał dla innych stworzeń i one wkrótce także się ożywiają. Przed nocą wiewiórka wraca na swoje drzewo, a jeśli wiesz, na którym z nich mieszka, możesz sporządzić coś w rodzaju lejka, kładąc na jej drodze na przykład powalony pień drzewa albo inne przedmioty, na jego końcu zaś umieścić sidła zawieszane na wysokości pięciu do ośmiu centymetrów. Potem chowasz się w zaroślach i spłycasz oddech. Obserwujesz, dopóki nie zauważysz ruchu pośród liści na ziemi. Wiewiórka przysiada, rozglądając się czarnymi ślepkami, a wtedy musisz całkowicie znieruchomieć. Potem zwierzak wbiega do lejka, a gdy wychodzi drugim końcem, wpada w pułapkę.

Ciało wiewiórki jest najlepsze, gdy jeszcze nie zdąży wystygnąć.

Istnieją dwa sposoby na poznanie umysłu innej istoty i żaden z nich nie wymaga mowy, ona tylko nas rozprasza.

Pierwszym jest życie i praca u czyjegoś boku. W ciszy wypełniasz swoje obowiązki i obserwujesz, jak druga osoba się porusza, jak jej ciało przemieszcza się i zmienia, jak każda myśl wpływa na wyraz jej twarzy, który mówi nam więcej od słów. Przedtem było tak ze mną i tatą. Wyciągaliśmy sanie, układaliśmy uprząż na śniegu i wybieraliśmy psy do zaprzęgu, nie wymieniając przy tym ani słowa.

Drugim sposobem na poznanie kogoś jest obserwowanie i nasłuchiwanie, co się dzieje głęboko w jego głowie. Nie da się bardziej zbliżyć do innego stworzenia. Wyzbywasz się własnej tożsamości i robisz miejsce dla czegoś innego, wlewasz to w siebie i zdobywasz wiedzę.

Wyjęłam nóż. Na szyi wiewiórki jest miejsce, które należy przeciąć, aby wypływająca ze zwierzątka krew sprawiła, że ciało zwiotczeje nam w dłoniach.

Później ruszyłam w drogę powrotną do domu. Nie czułam nic oprócz płonącej wściekłości, przed którą próbowałam uciec, wbiegając do lasu. Pomyślałam o tacie idącym do zagrody, o jego chudych plecach pod płaszczem i zgarbionych ramionach. O spokojnym, rozczarowanym głosie, jakim do mnie przemawiał. Ogarnęło mnie zmęczenie, równie silne jak gniew. Matka często mnie ostrzegała, bym nauczyła się nad sobą panować, ale w takie dni jak dziś to zbyt trudne. Mięśnie pulsowały pod skórą, a nogi chciały mnie zaprowadzić z powrotem na szlak, dalej w głąb lasu, gdzie czekało wiele innych stworzeń, na które mogłam zapolować.

Obróciłam się i zatoczyłam, gdy coś na mnie wpadło, czyjeś ramię uderzyło mnie w twarz, a przed oczami rozbłysły gwiazdy. Zamrugałam, żeby się ich pozbyć. Odepchnęłam ramię faceta potężnego jak niedźwiedź, o kilkudniowym szczeciniastym zarostie i klatce piersiowej sze-

rokiej jak beczka. Wysoka jak drzewo postać przesłoniła resztę lasu. Mężczyzna skoczył na mnie, nacierając całym ciężarem ciała. Spróbowałam go odepchnąć. Sięgnęłam do kieszeni po nóż. Zacisnął palce na moich włosach i szarpnął, wycharczał: Czekał no... A potem uniosłam dłoń z nożem.

Poleciałam w bok, na kilka sekund odrywając się od ziemi. Znowu ujrzałam gwiazdy, a potem czarną ścianę, która oddzieliła mnie od lasu, mężczyzny i krzyku, który odbił się echem od drzew.

Kiedy się ocknęłam, potwornie bolała mnie głowa, a skroń wciąż pulsowała po uderzeniu o poskręcany korzeń wystający z ziemi. W ciemności blask księżyca przesączał się ku ziemi między konarami. Zawsze lepiej widziałam w nocy niż w jaskrawym świetle dnia, więc zobaczyłam zdeptaną trawę, która pokazywała, którędy nieznajomy dotarł tu od szlaku. Widziałam także połamane łodygi kolcosiłu w miejscu, w którym napastnik zapewne opuścił polanę, odchodząc w nieznanym kierunku po tym, jak mnie ogłuszył.

Moje serce jazgotało jak wściekła wiewiórka, włosy stały mi dęba na karku i wstrzymałam oddech, uważnie nasłuchując, przekonana, że mężczyzna czai się w odległości zaledwie kilku metrów, a ciemny wieczór okrywa go jak peleryna. Nie zastawiałam pułapek w tej części lasu, ale czułam się, jakbym wpadła we własne sidła, gdy tak tkwiłam w jednym miejscu, czekając, aż nieznajomy się pokaże. Po dłuższej chwili, podczas której każdy krzyk ptaka czy trzask gałązki sprawiał, że niemal wyskakiwałam ze skóry, wreszcie wstałam. Krąg drzew zatańczył wokół mnie, ale kiedy wyciągnęłam rękę, żeby któregoś dotknąć, wszystkie się zatrzymały i zawroty głowy minęły. Zauwa-

żyłam na ziemi swój nóż, poplamiony zaschniętą krwią. Pewnie go upuściłam, kiedy nieznajomy mnie odepchnął. Czy nie oczyściłam go przed schowaniem do kieszeni, po spuszczeniu krwi z wiewiórki? To nie w moim stylu składać brudny nóż, przez co ostrze mogłoby zmatowieć. Chyba że użyłam go ponownie. Złożyłam go i schowałam do kieszeni. Teraz nie pozostało mi nic innego, jak wrócić do domu.

W zagrodzie paliło się światło, więc weszłam między rzędy bud i dałam dłoń do polizania Orzechowi i Piwnej. Zatrzymałam się, żeby podrapać Iskrę za uchem. Inne psy, zostało ich tylko czternaście, zaczęły mnie łapami i machały ogonami, gdy przechodziłam.

Tata stał przy swojej pile w warsztacie na końcu zagrody i robił półkę dla pewnej mieszkanki wsi; kobieta miała mu za to zapłacić. Na pewno targała nim wściekłość. Mogłam go jeszcze bardziej rozzłościć, grzebiąc na regałach ze sprzętem i nie zwracając na niego uwagi. Ale prawdę mówiąc, jego złość i nasza kłótnia martwiły mnie najmniej. Wciąż się nie uspokoiłam i spodziewałam się, że ktoś zniecka się na mnie rzuci. Myślałam o tym, że powinnam była usłyszeć skradającego się nieznajomego, ale wiewiórka, którą złapałam, rozgrzała mnie i zajęła moje myśli, a część mojego umysłu odpowiedzialna za czujność wciąż roztrząsała kłótnię z tatą.

Na półkach leżały splątane linki i uprząże, śpiwory i namioty, kanistry z paliwem, zapasowe kołki do namiotów oraz stary worek z suchą karmą dla kota, którego kiedyś trzymaliśmy w stodole. Znalazłam to, czego szukałam – osełkę. Posmarowałam ją odrobiną oleju, po czym usiadłam na stołku przy drzwiach, wyjęłam nóż, wytarłam ostrze

o nogawkę i przeciągnęłam nim po kamieniu. Rozległ się zgrzyt, który bardziej poczułam, niż usłyszałam.

Kiedy piła ucichła, tata spytał: Ogłuchłaś czy próbujesz mnie wkurzyć?

Moje dłonie znieruchomiały. Knykcie miałam podrapane i obolałe po uderzeniu w karoserię auta.

Musiałam sprawdzić sidła.

Rozstawiłam je w naszym lesie, większość niedaleko domu, żebym mogła do nich dotrzeć pieszo. W część złapały się stworzenia zbyt drobne, by warto było je zabrać, ale kilka nadawało się do zjedzenia, a pozostałe miały futro, które tata mógł sprzedać albo wymienić w wiosce.

Poszcęściło ci się? rzucił przez ramię.

Nie tym razem, odrzekłam, ponieważ oskórowanie wieiórki się nie opłaca, zresztą upuściłam ją, kiedy zaatakował mnie nieznamy.

Obróciłam nóż, żeby naostrzyć go z drugiej strony. Piła znów zawirowała, a tata przeciął kolejną deskę. Kiedy skończył, wyłączył maszynę. Wytarł dłonie o koszulę, a na posadzkę spadły trociny. Westchnął i przystanął w progu. Automatyczna lampa, którą zamontował na podwórzu, rzucała krąg światła, przez co pozostała część podwórza wydawała się jeszcze ciemniejsza. Wszystkie psy już się położyły, większość zwinęła się w kłębek, kilka poruszało łapami, śniąc o bieganiu.

Tatę zawieszono w prawach zawodnika ponad rok temu. Zanim zginęła mama, byłam gotowa ręczyć głową, że coś takiego nigdy się nie stanie. Ale tamta noc, gdy mamę potrącił samochód, spowodowała lawinę wydarzeń. Czytałam, że kiedy porwie cię lawina, najlepiej jest brnąć w przeciwnym kierunku, próbując nie zapaść się w śniegu. Ale my

nie mieliśmy tyle siły. Wciąż walczyliśmy o powrót na powierzchnię.

Nie siedź za długo, powiedział tata przez ramię. Już prawie pora snu.

Przeszedł przez kałużę światła lampy, po czym zniknął w ciemności. Zostawił mnie samą w zagrodzie, otoczoną przez sprzęt i sześć sztuk sań przyczajonych w głębi, gotowych, by ktoś stanął na ich płozach. Wiele pustych bud na podwórzu. Garstkę psów, które nie tylko chcą, ale muszą się ścigać.

Ta potrzeba tkwiła także we mnie. Tęskniłam za saniami. Czułam zew szlaku, każdy hektar terenu za domem zapraszał, bym znów przemierzała znajome wzgórza i doliny. Każdego innego wieczoru mogłabym wymknąć się na kilka minut, by zaspokoić to pragnienie.

Ale pod tęsknotą kryły się drżenie serca i mrowienie skóry. Czyjeś oczy, zgarbiony cień czekający pośród nocy. Na myśl o nieznanym traciłam oddech, co nie było przyjemne. Zrozumiałam, że nie odzyskam spokoju, dopóki się nie upewnię, że ten mężczyzna już mi nie zagraża.



Siedemnastoletnia Tracy, wychowana w dzikich ostępach Alaski, spędza całe dnie na tropieniu zwierząt i powożeniu psim zaprzęgiem w lasach otaczających jej rodzinny dom. Chociaż czuje się bezpieczna w tej dziewiczej krainie, zawsze przestrzega zasad, których nauczyła ją matka, zanim zginęła:

**Nigdy nie trać domu z oczu.**

**Nigdy nie wracaj do domu z brudnymi rękami.**

**A przede wszystkim: Nigdy nie rań innych ludzi do krwi.**



Pewnego dnia ktoś atakuje Tracy w lesie.

Dziewczyna nie pamięta dokładnie, co się stało, ma jednak wrażenie, że zanim straciła przytomność, zraniła go nożem.

Do krwi. Ale nie ma czasu się nad tym zastanawiać, jest zajęta przygotowaniem do zbliżających się zawodów Iditarod.

Wkrótce zaczynają dziać się dziwne rzeczy. Niepokojący lokator, który podstępnie wkrada się w łaski rodziny.

Groźna twarz nieznajomego w tłumie. Odcisk buta na skraju lasu...

Rodzina Tracy jest w tarapatach.

w sprzedaży także



[www.marginesy.com.pl](http://www.marginesy.com.pl)



9 788366 140905

cena 37,90 zł

PATRONAT MEDIALNY



[lubimyczytac.pl](http://lubimyczytac.pl)

RADIO 103FM  
**kolor!**